

— Proszę zostawić, sam pozbieram kawałki — rzekł doktor i nachylił się.

Kamerdyner cofnął się, doktor Bressant podniósł wszystkie kawałki. Były one suche. Widocznie kieliszek był wypróżniony do dna.

Wychodząc z jadalnego pokoju, doktor obrzucił grupkę młodych ludzi badawczym, lecz zarazem i łaskawym spojrzeniem i zapytał:

— Kto z panów był świadkiem śmierci pana Hardy'ego?

Zbliżyłem się. Bałem się jego zapytań, nie miałem jednak możności uniknięcia ich.

— To pan został zawołany przez jego wnuczkę? — pytał dalej doktor.

Wejście jego, gdy zwrócił się na mnie, przybrało zaraz wyraz zupełnej ufności, jaką zauważyłem poprzednio u jego nieszczęśliwego pacjenta.

— Tak, ja — odrzekłem.

I opowiedziałem mu z prostotą okoliczności, w jakich zostałem wmieszany w tę sprawę. Nie wspominałem jednak nic o liście, powierzonym mi dla oddania nieznanej osobie. Czyż mogłem to uczynić? Gdy zapytałem się pana Hardy'ego, czy list ten jest dla jego doktora, spojrzenie jego pozostało bez żadnego wyrazu. Opis mój ostatnich chwil finansisty zdawał się potwierdzać wrażenie, jakie na lekarzu wywarł stan zmarłego. Wziął on znowu do ręki resztki stłuczonego kieliszka i długo je wahał, podczas gdy młodzi Hardy'owie przypatrywali mu się ze zdziwieniem. Nikt z nas zresztą nie mógł ukryć ciekawości, jaka nas podniecała.

— Ma nam pan do powiedzenia coś strasznego — odezwał się starszy z dwóch braci.

Doktor zawahał się, objął wzrokiem jednego, potem drugiego i odrzekł:

— Nie widzę brata panów. Czy prędko ma on powrócić?

— Gdzie jest pan Lionel? — zwrócił się Alfred do służących. — Zdawało mi się, że nie miał zamiaru wychodzić tego wieczoru.

Kamerdyner zbliżył się z uszanowaniem.

— Pan Lionel wyszedł przed godziną. Słyszałem, jak starszy pan mówił coś głośno w swym gabinecie, poczem pan Lionel wziął swój kapelusz i palto i wyszedł.

— Czy Mateusz widział w chwili tej pana Hardy'ego?

— Nie, panie doktorze, słyszałem tylko, iż coś mówi.

— Czy mówił zwykłym swym tonem?

Stary służący zdawał się wahać, lecz wzrok doktora stał się tak rozkazującym, iż wreszcie odrzekł:

— Nie mówił spokojnie, proszę pana doktora. Zdawało mi się, że jest zagniewany lub bardzo niezadowolony. Głos pana był ostry.

— Gdzie Mateusz był w tym czasie?

— W jadalnym pokoju. Układałem naczynia.

— Czy Mateusz słyszał wyraźnie słowa pana Hardy'ego?

— Nie bardzo... Zrozumiałem tylko, iż chodziło o religię.

— Ojciec mój uważał, że Lionel zajmuje się zbyt wielo sprawami dobroczynnymi — odezwał się po cichu Alfred.

Lekarz nie spuszczał wzroku ze starego kamerdynera.

— Przedtem, czy też potem zażądał malagi?

— Przedtem, proszę pana. Pan Lionel sam po nią przyszedł. Powiedział mi, że pan czuje się zmęczonym.

— Tak! Jakże więc się stało, iż próżny kieliszek znalazł się na kominku w jadalnym pokoju?

— Nie wiem. Może pan sam go tam postawił. Pan nie lubiał nieporządku u siebie.

Przy słowach tych starszy brat otworzył usta, jakby chciał coś mówić, powstrzymał się jednak i zachował milczenie. Wydało mi się, iż ochłonął już po pierwszym wzruszeniu i panuje zupełnie nad sobą.

— Proszę pokazać mi butelkę, z której Mateusz nalewał to wino.

Kamerdyner poprowadził lekarza do wielkiego redensu, który zajmował prawie całą ścianę w po-

koju. Z miejsca, w którym stałem oparty o framugę drzwi, widziałem jak pokazuje karafkę. Nagle zadrdzał.

— To nie ta! — zawołał tak głośno, iż to usłyszałem. — Karafka, którą podałem panu Lionelowi była już na pół próżna. Ta jest prawie pełna.

Spostrzegłem, iż starszy brat znowu poruszył wargami, lecz i tym razem zachował milczenie.

— Należy odnaleźć tamtą karafkę. Proszę jej teraz nie szukać. Zanim przedsięwziemy cośkolwiek, musimy poczekać na powrót pana Lionela. Panie Jerzy i Alfredzie, proszę pozostawić mnie samego w gabinecie. Niech nikt nie wchodzi do jadalnego pokoju. Nie chcę, by komisarz czynił nam jakie wyrzuty. Ojciec panów nie umarł w sposób naturalny.

Chociaż na twarzach ich widać było silne wzruszenie, obaj bracia nie zamienili z sobą żadnego spojrzenia, nie okazali najmniejszego współczucia. Czyżby nie łączyła ich żadna zażyłość? Był to najodpowiedniejszy moment do wyrażenia wzajemnego uczuć braterskich, o ile je posiadali.



Ujrzałem, jak starzec chwieje się i pada.

— Muszę ze względu na pewne okoliczności rozmówić się telefonem, nie weźmiecie mi tego panowie za złe.

Upewniwszy się, że wykonano jego zlecenia i że w jadalnym pokoju nie ma nikogo, lekarz zamknął się w gabinecie.

W chwilę potem usłyszeliśmy dzwonek telefonu i nieuniknione: „Halo!“

Poza mną Jerzy mówił do brata:

— Nie rozumiem dziwnego zachowania się doktora Bressanta.

Alfred skierował oczy na schody i nic nie odrzekł.

— Wiem, że ojciec zażywał chloral — mówił dalej Jerzy półgłosem — lecz zdawało mi się, że bierze go dopiero przed spoczynkiem.

Tym razem odpowiedział mu brat:

— Zrobił dzisiaj wieczorem wyjątek. Gdy szedłem do ciebie o pół do dziewiątej, spotkałem Klarę, gdy wychodziła z jego pokoju z flakonem w rękę. Posłał ją po chloral.

Jerzy spojrzał podejrzliwie na brata.

— Powiedziała ci to?

— Tak!

— Biedna mała. Będzie jej bardzo brak dziadka. Ciekawym, czy ona też wie?

Położenie moje stawało się coraz trudniejsze. Czulem, że nie powinienem słuchać tego wszystkiego, nie wiedziałem jednak, jak się stąd wycofać bez upoważnienia. Podczas gdy myślałem o tem, ukazał się znowu lekarz. Podszedł do mnie i rzekł:

— To opóźnienie może jest panu nie na rękę, muszę jednak prosić, by pan był łaskaw jeszcze poczekać.

Wtedy zbliżył się ku mnie Jerzy Hardy i poprosił grzecznie, bym przeszedł do salonu. Gdy podnosił ciężką portyere, by mnie przepuścić, otworzyły się drzwi wchodowe. Ujrzałem nową osobę, w której domyśliłem się zaraz trzeciego brata, tak niecierpliwie oczekiwanego przez wszystkich. Nowo przybyły, o bardzo miłej powierzchowności, nie podobny był do swych braci. Trudno mi określić wrażenie, jakie wywarł na mnie w pierwszej chwili. Czulem, że nie jest to człowiek pospolity. Wydawał się zmartwionym, a nawet przygnębionym. Obecność obcego zdawała się go podtrzymywać. Spojrzał pytająco na lekarza, potem na służbę w westybulu.

— Co się stało? — rzekł głosem, w którym drgała pewna niecierpliwosć. — Co się dzieje, Alfredzie?

— Wielkie nieszczęście — odpowiedzieli razem.

— Ojciec umarł! — dodał Jerzy.

— Zażył za wiele chloralu! — rzekł Alfred.

Lionel Hardy pozostał na chwilę jak przykuty do miejsca. Potem, zrzucając kapelusz, chciał iść do gabinetu ojca, lecz powstrzymał go doktor.

— Poczekaj, Lionelu! Muszę przedstawić ci fakty. Ojciec wasz umarł nie dlatego, iż przyjął zbyt wielką dawkę chloralu, jak początkowo przypuszczałem, lecz iż wypił kwasu pruskiego. Dosyć nachylić się do jego ust, by się o tem przekonać. Teraz możemy tam wejść.

Na wieść tę przerażenie i strach zamalowało się na wszystkich twarzach. Nie spostrzegłem jednak na nikim zdziwienia, jakiegoby można oczekiwać. Widoczne było, iż bliżsi wiedzieli o kłopotach i troskach zmarłego, któreby mogły wytłumaczyć ten jego tragiczny koniec. Zacząłem żałować, że wypadek wmieszał mnie do spraw tej rodziny. List, jaki miałem w swej kieszeni, ciążył mi niewymownie. Lionel starał się pohamować siebie i zapytał:

— Może pan doktor myli się? Widzę tam na kominku flakon z chloralem mego ojca, choć zwykle on tam nie stoi. Można przypuszczać, że ojciec go nagle zażądał. Przecież nie można otrzymać kwasu pruskiego bez recepty lekarza, a pan doktor nie zapisał ojcu takiego niebezpiecznego środka.

— Z pewnością nie! Nie było to zupełnie wskazanem. Mimo to ojciec pański umarł z powodu jego zażycia; wszystkie symptomy wskazują na to.

Musimy tylko określić teraz, czy wziął truciznę w chloralu, w kieliszku wina, jaki wypił po obiedzie, czy też w jaki inny sposób. Żałuję, że całą prawdę wyraziłem bez osłonek, lecz po co bawić się w sprawę tak ważnej w zagadki? Władze nie będą zachowywały ceremonii, mogą upewnić o tem. Fakt jest zbyt widoczny.

Drzwi gabinetu zamknęły się za nimi, wskutek czego nie mogłem usłyszeć odpowiedzi Lionela. Po krótkiej chwili ukazał się znowu. Widziałem po jego twarzy, że uwierzył w opinię lekarza i że dowiedział się o roli, jaką ja odegrałem w tym dramacie. Powitał mnie uprzejmie i pytał, jak się zachowywała jego córka przy śmierci dziadka. Gdyśmy rozmawiali, miałem możność przyjrzenia się mu lepiej. Nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy widzieć takiego smutku. Najbardziej uderzył mnie wyraz jego twarzy, który wydawał się raczej być jego zwykłym wyrazem, niż chwilowym, wywołanym tym zgonem... Mimo to widać było, że nagle, niewytłomaczona śmierć jego ojca bardzo nim wstrząsnęła.

(Ciąg dalszy nastąpi).